



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## GÓRSKIE ZAMCZYSKO

OPOWIADANIE Z XV-go WIEKU.

p. Zuzannę Morawską.

### I. BURZA.



Na jeziorze Königsee \*) taka szalała burza, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali, spokojna zwykle i błękitna toń wodna wzdymała się falami, a te wijąc się w szalonych podskokach, podrzucały w górę kilka łodzi, które nie zdążyły jeszcze przybić do brzegu.

Przy brzegu jezioro stosunkowo było spokojne, wody kołysały się wprawdzie i szumiały jakimś tajemnym szumem, ale nie był to ich własny odgłos, tylko echo kłębiących się z całą gwałto-

wnością na środku fali.

A tam, tam właśnie na środku, naprzeciwko kamienia zmarłych, sterczącego w nagiej ścianie wybrzeża, kędy toń najgłębsza, zdawało się, że jakieś podziemne duchy rozchylają powierzchnię wody, która wzdymając się wielkimi jak góry falami, otwierała otchłań czarną, bezmierną. Drzewa na wzgórzach i skałach szumiały groźnie, starsze silniejsze opierały się wichrom, młodsze gięły się we dwoje, składając pokornie swe zielone wierzchołki. Oporniejsze stały chwilę sztywno, wiatr niemi załomotał i zachwiał, znów się wyprostowały,

jakby mocując się z jego potęgą, aż runęły wyrwane z korzeniem, często rozdarte i strzaskane, ale wielkie jeszcze i groźne nawet wśród swojej niemocy i śmierci. Mimo tego wichru dmącego od pobliskich skał, mimo huku rozdzierających się i wałących buków i świerków, z chat nadbrzeżnych powychodziły niewiasty i dzieci, wylegli starcy i wyciągając ręce ku jezioru z rozpaczliwym jękiem przyzywali walczące z rozłukanym żywiołem łodzie. Jęk ich rozplątał się w powietrzu, mieszał z hukiem fal, powtarzając straszne, pełne grozy odgłosy, które wśród skał rozchodziły się głuchym, w niezliczone razy powtarzanem echem,

— Płyną już, płyną! wołali jedni wznosząc ku niebu dziękczynne wejrzenia.

— Wydostaną się; ot widzicie! krzyczeli głośniejsze drudzy.

— Gdzie tam, fala ich załała! zagrzmiały znów dokoła rozpaczliwe głosy.

\*) Königsee jezioro w Alpach bawarskich 603 metry nad poziom morza 10 kil. długości, 2 szerokości, otoczone skałami wysokimi na 2,500 metrów.



— Nieprawda, nie dadzą się!

Powtarzali starcy, w których nagle ozwała się młodzieńcza siła i choć drżeli o walczących z falami, w piersiach ich odzywał się ogień dawno zagasły i wspomnienia młodości.

— O święty Janie, miej ich w swojej opiece.

— Święty Kiljanie i wszyscy święci patronowie rybaków módlcie się za nimi!

— Święty Krzysztofie, patronie tonących — mówiły, wzywając po kolei wszystkich świętych, niewiasty.

— Ojcie, ojcie!

— Oj, już po nich, już po nich!

— Zaleje ich, zaleje! — wołały dzieci, trzymając się ze drzeniem fartuchów matczynych.

— Żebym jeno znalazł gdzie małe czołno, popłynąłbym im na pomoc! — ozwał się nagle wśród tych lamentów energiczny głos młodego chłopaka.

Wszyscy zwrócili się ku niemu, i krzyki na chwilę ucichły.

— I po co, żebyś utonął! — zawołał mruklawie przygarbiony z bezwładną ręką rybak.

Ale chłopak nie słyszał przestrogi, szedł popychany wicherem wśród brzegu i pomiędzy kołyszącymi się na łańcuchach i wywróconymi nad brzegiem do góry dnem łódkami, wyszukiwał najuniejszej i najpodatniejszej do opierania się wzburzonym falom.

— Bogum, Bogum! czyż ci życie nie miłe — zawołała nagle jedna z niewiast. I mimo podeszłego wieku pędem strzały pobiegła za wyrostkiem; żyłastemi, do ramion obnażonemi rękami siłował on podnieść łódkę, która odwrócona do góry dnem i świeżo pomazana na szczelinach do koła pakiem i rybim tłuszczem, zdawała się oczekiwać, by ją jak najprędzej rzucono na fale.

— Dajcie mu pokój babulu — zawołał ochrypłym głosem rybak, który przed chwilą od szalonego kroku chciał odciągnąć chłopca. — Gdybym miał obie ręce zdrowe nie patrzyłbym tak próżno i nie zawodził, ale tak samo jak on uczyniłbym. Młodego nie powstrzyma! — dodał.

— Dobrze wam mówić, Wilhelmine — ozwał się ktoś z tłumu — ale stara chłopaka wychowała, trudno go tak wydać na zgubę.

I posypały się znów wołania i powtórzył płacz i jęki bezsilne i krzyki rwące się na wyścigi z odgłosami wciąż szalejącej burzy.

Ale Wilhelm nie zważał na gadanie, tylko szedł za chłopakiem, powłócząc nogą a wiatr potrząsał bezwładnie zwisłem w rękawie jego prawem ramieniem.

Kiedy kaleka lewą, krzepką i znać przywykłą do dźwigania ciężarów ręką, pomagał Bogumowi podnieść czołno, babula chwyciła wpół chłopaka i całą siłą starała się go odciągnąć od szalonego zamiaru.

— Dajcie pokój, babulu, cóż mi się stanie — prosił chłopak, zwracając ku niej twarz opaloną od słońca.

— Nie natożem cię hodowała, ażeby ci na widoczną zgubę pozwoliła.

— Ależ babulu — przerwał chłopiec — tam giną ludzie, niema czasu na próżne gadanie! I szarpnął się tak silnie, że się uwolnił z dłoni przytrzymującej go niewiasty.

Ona tymczasem zawodziła, łamała ręce, ale chłopak raz uwolniwszy się z jej objęć, mruknął tylko:

— Zawszeć wam byłem posłuszny, ale chyba mnie Bóg pokarał, żebym silny i zdrow patrzył spokojnie, kiedy tyle ludzi ginie!

A zsunawszy czołno na wodę, wskoczył weń zręcznie i podanym przez Wilhelma wiosłem, począł z taką siłą odpiarać wzburzone fale, iż stojący nad brzegiem starcy, gwarnie wołać poczęli:

— Dobrze, dobrze, zuch chłopak!

— Juści zuch, a jak utonie? — mówiła babula.

— Jak utonie to sobie weźmiecie drugiego i znowu wychowacie! — ozwał się Gryp wyrostek.

— A możebyście mnie sobie wzięli? — dodał.

— Idź precz, urwisie, nie wartes nawet paznogcia Bogumowego — ofuknęła babula i westchnęła.

Tymczasem posypały się znów wołania:

— To ci śmiałość!

— Zuch chłopak! — wołały dziewczęta patrząc na łódkę prującą rozluskane jezioro.

— Mamo, mamu, ja nie chcę żeby Bogum utonął — wołała mała Guta.

— Oj, oj! — wrzeszczały małe dzieciaki, przestępując z nogi na nogę.

— O, święci pańscy ratujcież go! — zawołała babula, a inne niewiasty dopomagały jej już to w modlitwie, już to w wyliczaniu trosk przy wychowaniu chłopaka i wychwalaniu jego pracowitości i niezwyklej w każdym razie odwagi.

I wśród trwogi o swoich ukochanych, którzy w trosce o chleb powszedni, przy połowie ryb nagle zaskoczeni burzą, walczyli ze śmiercią, mieszało się teraz imię sieroty Boguma, zwanego często przybłądą.

Ludzie stojący nad brzegiem zawodzili, a burza po swojemu dalej luczała.

Zdawało się, że wicherom nie staje już siły do większego wyteżenia a piersiom ludzkim do gorętszych modłów i sroższych okrzyków rozpacz. Chwilami też zdawało się, że milkną rozluskane żywioły, że niebo czarne rozsuwa się i ukazuje rąbek jaśniejszy, wtedy to rzeczywiście oczy wznosiły się ku niebu, oczekując stamtąd ratunku.

Ale chwile te były krótkie, krótkie jak jedno mgnienie oka, bo po tem przeblasku nadziei, wicher jakby po lekkim wypoczynku ze zdwojoną siłą dać zaczynał, a niebo jeszcze się bardziej zaciemniało.

Rozdarło się ono wprawdzie błyskawicą, lecz po to tylko, aby za chwilę padł piorun straszny, potężny, ogłuszający swym hukiem i zapadł w ciemną toń wzburzonego jeziora.

Uderzył, znikł i pozostawił w niemej rozpacz ogłuszonych nad brzegiem mieszkańców. Już teraz z żadnej piersi nie ozwał się krzyk grozy, ani jęk rozpacz; żadna skarga ni imię tych którzy pewno zginęli. Najpobożniejsze z niewiast nie wyszeptały modlitwy i nie wezwały imienia świętych, bo wszystkie usta zamilkły wśród potężnego z góry odgłosu.

Deszcz też lunął potokiem i powiększył jeszcze grozę burzy, oblewając strumieniami wody stojących przy brzegu i zakrywając i tak już ciemne przestworze.

Wtem nagle poruszyło się coś tuż przy brzegu i wśród wycia wiatru, uszy wprawnych w rozróżnianie wszelkich odgłosów rybaków, rozróżnić poczęły najwyraźniej plusk wiosła.

— Bogum, Bogum wraca! — zawołała babula, roztrącając zbitą masę ludzi, ażeby najpierwsza zobaczyć wracającego.



— Ojcie, ojcie! — krzyczały dzieci, rwąc się za matkami, pchającymi się do brzegu.

— Mój, mój wraca! — krzyknęła jedna z niewiast.

— Nie, to mój z synami — wołała inna.

Gwar ten milkł wśród cichnącej w swoim szaleństwie burzy, która długim wązkim pasem idąc ku północy jeziora przynosiła już teraz tylko echo stłumione, spadającego całemi strumieniami deszczu.

Powoli plusk wioseł stawał się coraz wyraźniejszy, łodzie wylańwały się z pośród fal i płynęły już spokojnie po lekko poruszającym się jeziorze, podobnem terazu do człowieka odpoczywającego po wielkich trudach i ciężkiej całodziennej pracy.

I znów krzykliwa nadbrzeżna rzesza zaprzestała gwarliwych nawoływań i jęków, wszyscy stali w niemem oczekiwaniu, wyciągając dłonie, jak gdyby chcieli coprędzej pochwycić przybywających.

Wreszcie łodzie zaczęły przybijać, a okrzyki radości i wrzaski znów się zwiększyły.

— Jesteś, Anzelmie! witaj!

— Nie zginąłeś stary, i ty chłopaku!

— A Daniel?

— A Jan? a Marcin? — powtarzały kobiety, nie widząc jeszcze swoich ukochanych.

Przybyli zaś uspokajali jednym wyrazem:

— Płyną, płyną!

Albo:

— Nic im, co ma być.

— Albo to im pierwszy raz burza!

Uspokajali, lecz właściwie były to tylko ciche wyrazy, boć wśród niebezpieczeństwa nikt się na drugich nie oglądał, myśląc tylko aby własne kości, ba, i ułowione ryby przywieźć do brzegu.

— A Bogum? Co się dzieje z Bogumem? — wołała babula.

— Co wam babulu z Bogumem — ozwał się Krystyan, jeden z młodych rybaków.

— Toćecie waszego gagatka jako stójkę do Salzburga wysłali, czego nam głowę nim zawracać — zawołał inny.

— Nie rozmięknij, bo twardy a ma dobrą skórę — zawołał Gryp.

— Ma się też gdzie schronić — dorzucił jeszcze jeden z przybyłych, wyciągając z łodzi przy pomocy kobiet, olbrzymi kosz napełniony rybami.

— Ale wrócił z Salzburga, lecz popłynął wam na ratunek z czołnem — zawołała zrozpaczona niewiasta.

(d. c. n.)

## HELENA BUDZIŃSKA.

(KARTKA ZE WSPOMNIEŃ DAWNEJ UCZENNICY).

(Dokończenie).

— Tak jest w samej rzeczy, moje dziecko; zapewne niejedna też mało coś z nauki francuskiego zachowała w pamięci; ale za to pozostało jej na całe życie coś stokroć ważniejszego: lepszy pogląd na nabywanie wiedzy i udzielanie jej drugim t. j. na obowiązki uczennicy i nauczycielki. Dziś, gdy ogół-

nie nauczący zdolności u jeszcze ba-  
mniej ni-  
wyuczo-  
czasów  
sze i  
tech-  
gdy  
kla-  
rz-  
u-  
za-  
pod-  
nych oddawna, wia-  
z życia codziennego, słowem n-  
szym, lub dalszym związku znajdowały  
To nas przekonywało o związku pomiędzy różnemi  
mi wiedzy, uczyło wiedzę tę stosować w praktyce, pr-  
czajało do zastanawiania. A jakież to ożywienie, jakiz  
entuzjyzm panował czasem na tych lekcjach! Chyba żaden  
wódz starożytny podczas tryumfalnego po otrzymanem  
zwycięztwie, nie był witany takimi okrzykami radości,  
jak ja po trafnej odpowiedzi na jakie trudniejsze pytanie.

Bo już muszę się wam przyznać w tajemnicy, że jeśli panna Helena nie pobiła mi wcale i nieraz za figiel dziecinny gniewała się, jakbym wielką popełniła zbrodnię, to znów pochwałami przy lekcji psuła mnie poprostu: za jedno odezwanie się do rzeczy, stawiała mnie tak wysoko, jak za jakieś odkrycie kolumbowe.

— A pani bardzo gniewała się za naganę? bardzo była dumną z pochwał? bardzo z góry patrzyła na biedne „filutki” — rzucił pytanie Stasio.

— To zależy jak w jakim okresie życia. Póki byłam małą i niemądrą, jedno i drugie brałam bardzo do serca; tylko z zaślepieniem rozpieszczonego dziecka pochwały przyjmowałam jako rzecz sobie przynależną, a nagany uważałam za niesprawiedliwe. Ale gdy nieco podrosła i przyszła do rozumu, zapatrywanie to się zmieniło: pochwały i nagany przyjmowałam z równą wdzięcznością, jako dowody miłości jaką panna Helena otaczała swoje uczennice. Ona tak pragnęła abyśmy były dobrymi i rozumnymi: jeżeli więc przesadzała w pochwałę, to płynęło z serca, wzbranego radością; jeśli nas łajała, to nie z gniewu, ale z rzeczywistego bólu, jakim ją przejmował każdy nasz postępek naganny. A później jeszcze, w piątej, w szóstej klasie starałam się z postępowania przełożonej wyciągnąć korzyść dla swego moralnego wykształcenia. Gdy dostałam burę za jakąś bagatelkę mówiłam sobie: „Jestto rzecz drobna, ale powinnam Bogu dziękować, że wywołała takie oburzenie. Gdyby na to nie zwrócono mej uwagi, weszłoby mi to w przyzwyczajenie, a może rozwinęłoby się w jaką szkaradną wadę” i bardzo szczerze starałam się poprawić. Gdy znów panna Helena pochwaliała mnie nad zasługę, myślałam: „Dużo mniej jestem warta, niż sądzą na pensyi; ale jeżeli istotnie jestem lepszą lub zdolniejszą od mých koleżanek, to powinnam być dla siebie surową, więcej wymagającą i nie zasypiać na tych laurach” i po każdej pochwałę nabierałam takiej wiary w siebie, że nic mi się nie wydawało trudnem, niedostępnem nietylko w zadaniach szkolnych, lecz i w przyszłych zadaniach życiowych.

— Pani droga! ja będę nauczycielką, zawołała z zapalem 15 letnia Helenka — ja czuję powołanie do tego zawodu jakież to szczęście tyle wpływu wywierać na swe uczennice, co panna Budzińska. Wszakże powinnam ją naśladować we wszystkim, o czem nam pani dzisiaj mówiła?

— Powinnaś i ty, i wszystkie nauczycielki powinnyby ją naśladować, ale naśladować rozumnie, t. j. przejąć się treścią a nie formą działania. A więc tak jak ona, nie ustawać nigdy w pracy, starać się poznać usposobienie i zdolności każdej uczennicy, kochać wszystkie dzieci powierzone swej pieczy, wszystko dobre w nich rozwijać, wszystko złe wykorze-



dzy, własnym  
nauczycielek  
cyi według  
skiej zda-  
nadmier-  
na Bu-  
takie  
prost

— A czy przez to otwarte przyznawanie się do błędu nie traciła panna Budzińska powagi w oczach uczennic? — spytała Tola.

— Nie, moje dzieci, przynajmniej według mnie; w chwilach takich patrzyłam na nią z uwielbieniem i mówiłam sobie w duchu: „Daj Boże, abym kiedyś stała się do niej podobną,” serce wzbierało mi pragnieniem, wyrażonem w słowach poety:



Aktorzy japońscy.

ubliża jej pamięci. Panna Budzińska nie była nigdy formalistką, nie widzącą nic poza metodą i środkami używanymi przez siebie; uznawała ona wartość każdego ulepszenia, każdego nowego odkrycia na polu nauczania i oceniając np. osoby, wykładające w jej zakładzie, zawsze była pierwszą w uznaniu każdej wyższości nawet nad sobą. Ileż to razy mówiła do nas: „Tę regułę, którą wam wykladałam, panna R. sformułowała dużo prościej” albo „Pan X. słusznie jest temu przeciwny, co i ja dawniej robiłam.” Oto, w czym należałoby ją naśladować: nie zasklepiac się w ciasnym kole formułek, ale zawsze iść z postępem, zawsze być gotową porzucić własne mniemanie, skoro ono okaże się niesłusznym.

Naprzód, naprzód dążyć wiecznie  
Świątym ogniem tchnąć koniecznie,  
Bo spoczynek to śmierć ducha.

I z tych uniesień na ławce szkolnej pozostał mi na całe życie wstręt do małostek i próżnostek, które przeszkadzają ludziom przekładać prawdę nad zadowolenie miłości własnej. Pragnęłabym aby ten rys panny Budzińskiej najlepiej wam utkwił w pamięci, dopomoże on wam do zrozumienia, czem zasłużyła sobie na wdzięczność ogółu.

— Zdaje się, że rozumiem — zawołała Jadwinia — ale nie umiałabym tego sama wypowiedzieć.



— A mnie zawsze się zdawało — rzekła Irenka — że ci tylko, co piszą powiastki i bajeczki dla dzieci, należą do sławnych ludzi.

Grono młodzieży szczerym śmiechem przywitało tę uwagę najmłodszej swej przedstawicielki, lecz ja rzekłam poważnie:

— Autorzy powiastek i bajeczek dziecinnych nie tę mają zasługę, że piszą, ale że czytanie ich, czyni dzieci lepszymi i rozumniejszymi. Panna Budzińska zupełnie taką samą położyła zasługę: dopomagała setkom, a może tysiącom dziewcząt zostać tem, czem są obecnie, dobreimi, rożumnemi, pożytecznemi kobietami, a jeśli wielu z nich dużo brakuje pod każdym względem do doskonałości, większość lub wszy-

## W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Znalazłszy się nad samym brzegiem rzeki, młody myśliwy ujrzał ciekawą scenę:

Kangur, stojąc po piersi w wodzie, bronił się od psa, który



Kangur ścisnął go mocno... (str. 43 w poprzednim numerze).

stkie, dzięki swej dawnej przełożonej, są zagrzane żywym pragnieniem ciągłego doskonalenia się pod względem moralnym i umysłowym.

Co więcej, i wy dzieci, zawdzięczacie wiele naszej nieodżałowanej zmarłej to, co matki wasze, co wasze nauczycielki czynią obecnie dla waszego wychowania, rady, jakie wam dają, przestrogi, które słyszycie, wiedza, której wam udzielała, ma źródło w tych myślach i uczuciach, jakie słowem, uczynkiem i własnym przykładem rozbudziła w nich panna Budzińska. W jej wspomnieniu czerpiemy i długo czerpać będziemy natchnienia, zapał, otuchę; a dzisiaj gdy śmierć zabrała ją z naszego grona, postaramy się, aby żyła zawsze w naszej pamięci, aby czyny nasze były niejako dalszym ciągiem jej doniosłej działalności.

Aniela Szyg.

starał się wziąć przeciwnika za gardło; kiedy jednak Hopp zbliżył się nieroztropnie, zwierzę schwycił go w łapy i zanurzył pod powierzchnię.

Jerzy sądził z początku, iż pies niebawem wypłynie; minęło wszakże kilka sekund, a jego faworyt nie ukazywał się wcale. Widocznem więc było, że kangur zamierza utopić zuchwałego napastnika.

Chłopiec zmierzył z dubeltówki, ale bał się dać ognia, aby nie zabić przypadkiem psa, który szamotał się pod wodą i lada chwila mógł się wydobyć na wierzch.

Niebawem wszakże gwałtowne ruchy trzymanego pod wodą Hoppa zwolniły; niepodobna było wahać się dłużej.

Jerzy wycelował więc starannie w sam łeb kangura, i ciągnął za cyngiel.

Kiedy dym z wystrzału rozwiął się, myśliwy ujrzał z radością swego psa, płynącego z wysiłkiem do brzegu; ję-



przeciwnik zaś, otrzymawszy śmiertelną ranę, daremnie walczył z unoszącym go prądem rzeki.

— Biedny Hop, biedny! — zawołał chłopak, głaszcząc przemoczonego faworyta, który leżał nieruchomie na piasku, i łykał rozwartą paszczą powietrze.

Pies był nawpół uduszony, i nie mógł utrzymać się na nogach. Jeszcze parę sekund, a podstępny plan kangura udałby się w zupełności.

Upewniwszy się, że pies wyszedł bez szwanku z przygody, Jerzy zajął się zabezpieczeniem swej zdobyczy; nie tracąc czasu, wskoczył do rzeki, wyciągnął ubitego kangura na płytsze miejsce, aby go woda nie zabrała, i z wielką wprawą uciął mu gruby ogon.

Podczas tej czynności Hop przyszedł na tyle do siebie, iż mógł podążyć za swym panem, który w tryumfie wracał do obozu.

Wszyscy członkowie wyprawy ze zdziwieniem wysłuchali opowiadania Jerzego o doznanej przygodzie, i pospieszili niezwłocznie nad rzekę, aby obejrzeć zuchwałego torbacza.

— To jest *an oldman Kangaroo*\*) — rzekł Bob, wyciągnawszy na piasek zwierza. — Tylko taki odważa się czasami napaść na człowieka.

— Trzeba ci wiedzieć, mój chłopcze, iż uniknąłeś poważnego niebezpieczeństwa — odezwał się Dugan; — bywały bowiem wypadki, iż stary kangur rozpruwał brzuch przeciwnikowi pazurami u tylnej nogi; gdyby nie twój pies, to sprawa mogłaby się skończyć wcale nie wesoło.

— Bah! Ale wyszedłem cało, więc niema o czem mówić! — odparł wesoło chłopiec. — Będziemy mieli doskonałą pieczeń z ogona, która wynagrodzi nam jaja, zmiażdżone w torbie skutkiem upadku.

Jerzy zabrał się sam do przyrządzenia wieczerzy, w której, rzecz prosta, ogon zuchwałego kangura odgrywał główną rolę.

Niebawem wszyscy zapomnieli o oryginalnym wypadku, nie wyłączając Hopa, który uraczył się obficie mięsem swego wroga.

## V.

### DZIECI NATURY.

Dnia 15 listopada, o godzinie 8-iej rano, karawana, minawszy zabudowania jakiejs opuszczonej oddawna stacyi, dostrzegła w zachodnim kierunku, wpośród tumanów niebieskawej mgły, szczyty pasma The Great Dividing Range.

Długi ten łańcuch, nazywany często Kordylierami Australijskimi, biegnie przez cały prawie ląd, od skrajnego południa, aż do zatoki Karpentaria i Oceanu Spokojnego, rozdzielając się ku północy na kilka odnóg.

Stanowi on naturalną granicę pomiędzy wschodnim a zachodnim systematem rzeznym Queenslandu, daje bowiem początek licznyim rzekom, spływającym bądź do wielkiego jeziora wewnętrznego Eyre, bądź do Oceanu.

Karawana musiała zatem przepawić się przez wyniosłości, które przecinały jej wpoprzek drogę, niby olbrzymi mur skalisty, ciągnący się w nieskończoność.

Dugan, zatrzymawszy swego wielbłąda, wydobyl lunetę polową i szukał czegoś dluo na zamglonym horyzoncie.

— Coś pan dostrzegł? — zagadnął go doktor.

— Nic; upatruję tylko najdogodniejszego punktu do przejścia tych gór, których wschodnie stoki są na nieszczęście bardzo strome i nieprzystępne.

— Ciekawym, jak nasze wielbłądy będą chodziły po spadzistościach — odezwał się Jerzy z uśmiechem; wcale bowiem nie są stworzone do łażenia po górach i wspinania się na urwiska.

— Tak, mój chłopcze — odparł pan Artur; — czekają nas nie lada trudności. Spodziewam się jednak, iż pokonamy je.

\*) Tak nazywają w Australii starego samca kangura. Dosłownie znaczy to starzec kangur.

je pomyślnie. Przypominam sobie, iż o kilkadziesiąt kilometrów na południe od miejsca, gdzie się obecnie znajdujemy, leży wąwóz, przez który przeprowałem się już kilka lat temu. Na nieszczęście nie oznaczyłem go na mapie podróźnej. Moglibyśmy wprawdzie skorzystać z innych przejść, powszechnie znanych, obawiam się wszakże o nasze wielbłądy. Strata jednego z tych zwierząt nieocenionych, byłaby dla nas niepowetowaną i zwichnęłaby całe nasze przedsięwzięcie.

— Skierujmy się więc odrazu na południe, — wtrącił Abel.

— Nie, nie, mój chłopcze; powiedziałem już, iż nie znam dobrze położenia owego wąwozu; będziemy się posuwali u stóp łańcucha; kto wie, czy się nam nie uda znaleźć jakiego innego przejścia, w które moglibyśmy się zapuścić, nie narażając na niebezpieczeństwo wielbłądów.

Halm i obaj pasterze przyznali słusność Duganowi; posuwano się więc wprost na zachód, przez bujne łąki, zraszone źródłowiskami rzeki Clarke'a, nad którą leżała stacya Little Downs.

O trzeciej po południu monotony dotąd krajobraz, zaczął się przyjemnie urozmaicać odosobnionemi grupami skał bazaltowych, malowniczo spiętrzonych i uwieńczonych karłowatemi krzakami lnu nowozelandzkiego; natrafiano też coraz częściej na długie, wijące się kapryśnie szczeliny, które trzeba było wymijać, nadkładając nieraz po parę kilometrów drogi. Grunt wznosił się powoli, roślinność nizin ustępowała miejsca florze alpejskiej, bardzo charakterystycznej. Zamiast eukaliptusów i akacyi, nasi podróżni widzieli coraz częściej palmy i paprocie drzewiaste, które na wyniosłościach dosięgają zdumiewającego wzrostu.

Droga stawała się coraz gorszą; wielbłądy stapały z trudnością pod górę, potykając się co chwila o ostre głązy; kilkakrotnie zatrzymywały się zdyszane, lecz Dugan potrafił zachęcić je głosem i gaskaniem; szły więc dalej niezrażenie, wspinając się z wysiłkiem po przykrej pochyłości. O piątą karawana znajdowała się już u podnóża głównego łańcucha Dividing Range, który wznosił się prostopadle, niby olbrzymi mur skalisty, do wysokości tysiąca kilkuset metrów.

— No, teraz możemy się zwrócić na południe! — zawołał Dugan, zacierając z zadowoleniem ręce. Przy pomocy lunety z łatwością dostrzeżemy jakie wygodne przejście na drugą stronę łańcucha.

— Widzę już stąd przerwę pomiędzy górami, — rzekł Abel, obdarzony od natury doskonałym wzrokiem.

— Jestto zapewne jaki gardziel bez wyjścia, — odparł Dugan, skierowawszy lunetę na wskazany punkt; zresztą możemy go zbadać bliżej. Naprzód więc!

Z Great Dividing Range wypływają prawie wszystkie rzeki, zraszające Queensland; to też karawana co kilkaset metrów napotykała luczące po skałach potoki, które zagradzały jej droge.

Ich przezroczyta, jak kryształ, zimna woda wprawiła wielbłądy w jaknajgorsze usposobienie; jeźdźcy musieli niejednokrotnie używać bata, ażeby skłonić uparte zwierzęta do przeprawy.

Podróżni byli jednak sowicie wynagrodzeni za swe trudy uroczymi krajobrazami, odsłaniającymi się na każdym kroku. Wzrok ich z przyjemnością zatrzymywał się na szumnych kaskadach, w których promienie chylącego się słońca zapalały barwne tęczę na malowniczych skałach, zagradzających bieg potokom, na rozłożystych i wysokich drzewach, które pochylały ku zwierciadłu wód swe konary, pokryte kwieciami, kąpiąc się jednocześnie wierzchołkami w lazurze niebios, cudownej czystości.

Mały zimorodek, strojny w czerwone i niebieskie piórka (Alcyon lazura), uciekający trwożliwie na widok ludzi, oraz wielkie zielone i błękitne motyle, Ornithoptera, które doktor śledził pożądlwym wzrokiem, ożywiały te piękne widoki samotni górskiej.

Przeprawiwszy się przez kilka potoków, karawana znalazła się nad brzegami sporej rzeczki, która płynęła w tak



głębiem łożysku, iż niepodobna było myśleć o tem, ażeby ją przejść w bród.

— Trzeba zbudować na prędce most,—radził Jerzy; — zetniemy ze trzy drzewa, przerzucimy je na przeciwległy brzeg i na tem rusztowaniu ułożymy z gałęzi podłogę, po której nasze wielbłądy przeprawia się zupełnie bezpiecznie.

— Wykonanie twojego pomysłu zabrałoby nam zbyt wiele czasu, — odparł Dugan. — Idźmy lepiej w górę strumienia, a natrafimy niezawodnie na miejsce, w którym brzegi nie będą takie strome.

— Bob, — dodał zwracając się do jednego z pasterzy — będziesz szedł pieszo tuż nad samą wodą, a skoro znajdziesz przeprawę, dasz nam znać gwizdnięciem.

Bob kiwnął głową i, zsiadłszy z konia, zniknął niebawem wpośród gęstych zarośli nadbrzeżnych; karawana zaś posuwała się dalej, równolegle do strumienia, lecz w pewnej odległości od jego koryta.

W kilka minut potem podróżni usłyszeli wyraźnie przeciągły okrzyk, podobny do nawoływania: *Kalloo! kalloo!*

Głos ten zdawał się pochodzić od strony olbrzymiego eukaliptusa, rosnącego o kilkanaście kroków od rzeki.

— A to co? — zawołał doktor, oglądając się dokoła.

— Zapewne dzicy muszą się znajdować gdzie w pobliżu, — odparł Dugan, podnosząc głowę.

— Dzicy? — powtórzył niespokojnie Halm, chwytając za rewolwer.

— Nie obawiaj się doktorze — rzekł Jerzy, uśmiechając się mimowolnie z trwożliwego ruchu entomologa, — tutejsi krajowcy nie uczynią nam nic złego, jakkolwiek są ludożercami.

— Więc nie grozi nam napaść z ich strony?

— Oh, nie. — A zresztą znajdujemy się w dość znacznej liczbie, ażeby się obronić.

— Gdzież są ci ludożercy? — spytał doktor rumieniąc się lekko.

(d. c. n.)

## SPRAWOZDANIE Z KONKURSU.

Zadanie nasze konkursowe dobrze zrozumianem zostało, skoro na poparcie prawdy zawartej w przysłowiu: „Wedle stawu grobla”, wszyscy niemal współubiegający się jednomyślnie orzekli, że potrzebną jest w życiu rozumna przezorność, że należy rozważnie szafować darami majątku i zdolności, wykazując, iż marnotrawstwo wszelkiego rodzaju ciężką krzywdę wyrządza, podkopuje dobrobyt nie tylko pojedynczych osób i rodzin, ale całego społeczeństwa. Doświadczenie nas uczy, że kraj każdy tam najświetniej materyalnie i duchowo się rozwija, gdzie jednostki pracą, zabiegliwością, oszczędnością do zabezpieczenia własnego losu i do pomyślności ogółu najskuteczniej przyczynić się umieją.

Taka mniej więcej treść konkursowych wypracowań leżących przed nami; gdy jednak wybór między nimi uczynić musimy, pierwsze nagrody przyznajemy tym które wyróżniają się udatnością formy i trafnością sądu.

11 letnia *Pocieszka* rodziców, przykładami z życia czerpanymi przekonywa, jak ciężko grzeszy człowiek, który marnuje spuściznę odziedziczoną po przodkach zamiast ją przekazać potomkom; za lekkomyślność jego, nie tylko on sam, ale liczny szereg niewinnych ofiar pokutować musi. Stracony bowiem kawałek ziemi własnej, to stracony chleb którym cała rodzina obdzielić się mogła, stracony owoc pracy ojców i dziadów w pocie czoła przez nich zbierany, stracone pole pożytecznej działalności, możność świadczenia dobrego drugim!

12 letnia *Marylka* z pod *Kutna* przysłowie: „Wedle stawu grobla” stosuje do stanowiska jakie narody w starożytności zajmowały w historii i cywilizacji świata; dowodzi, że ludy te póty wzrastały w siłę i potęgę, póki rządziły się zasadami rozumnego umiarkowania, upadły zaś z chwila, gdy zniewieściałość, zepsucie obyczajów i zbytek wśród nich zapanował. Zalety jej gładkim, potoczystym stylem napisanej pracy, podnosi jeszcze skromność z jaką wyraża się w końcu: „Trudno mi dobrze wywiązać się z zadania, lecz staw mojej wiedzy nie wielkim jest jeszcze i na lepszą groblę zdobyć się nie umie.”

*Rączy Jeleń* ze stanowczością męskiego zdania twierdzi, że życie nad stan gubi człowieka, a tylko pilnując się zasad przysłówia: wedle stawu grobla, dostąpić można szczęścia i spokoju na ziemi. Twierdzenie to popiera przykładem dwóch braci, z których jeden obrawszy skromny zawód uczciwego rzemieślnika, wytrwałą pracą dochodzi do dobrobytu, a drugiego gubi materyalnie próżność, lekkomyślność i marnotrawstwo. Kończy zaś czterowierszem:

Żyj wedle stanu człowieku uczciwie,  
Nie pragnij honorów, jak to czyni wielu,  
W końcu spokojnie, jeśli nie szczęśliwie,  
Dojdiesz do życia podniosłego celu.

Inne trochę założenie stawia sobie *Sikorka litewska*. U przytoczonego przez nią doktora nadmierna ambicja zrywa groblę zdrowego rozsądku; przecina on zdolności swoje, pogardza cichym pożytecznym zawodem lekarza na prowincyi, ubiega się za rozgłosem, za świetnością stanowiska, a zawiedziony w nadziejach, marnieje fizycznie i moralnie bez korzyści dla siebie i drugih. Na przeciwstawienie dążnościom tej wygórowanej ambicji opowiada w dalszym ciągu koleje życia młodej dziewczyny, która widząc, że rodzice nie mają funduszy na kształcenie jej w naukach, rzeka się dobrowolnie korzyści staranniejszego wychowania, uczy się krawiecczyny dostarczającej źródła prędszego zarobku i pracą ręczną zdobywa sobie byt niezależny, choć skromny, mogąc jeszcze przyjść w pomoc rodzicom. Dowodzi to, że na rozsądku oparta grobla bezpieczeństwa w życiu bywa.

14 letnia *Przekora* wierna wiadać pseudonymowi swemu, z odmiennymi poglądami w tłumaczeniu podanego do obrobienia tematu występuje. Podług niej zbyt ściśle ograniczanie żądań i potrzeb naszych „pozbawiałoby nas chęci do odkryć i wynalazków, tamowałoby postęp”, zdanie to popiera cytata: „należy mierzyć siły na zamiary, nie zamiary na siły”. Pochwalamy tę młodzieńczą wiarę dla której nie istnieją zapory, która przy silnej woli wszystko możliwem do osiągnięcia uznaje, ale i ten zapał młodej duszy o tyle do celu doprowadzić może, o ile poparty rozważą, liczyć się ze środkami umie.

Gładkim stylem skreśliła pracę swoją 15 letnia *Starościna*. Czini wzniąnek o powieści drukowanej niedawno w *Wieczorach* pod tytułem „Jedynaczka” na dowód, że kto nad stan żyje, nie tylko rodzinę doprowadza do nędzy, ale nie raz skazuje na niedostatek tych, co mu zaufali i powierzyli mienie. Z tego powodu przytacza słowa Kochanowskiego: „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim” i kończy dowodzeniem iż: taki człowiek może być jedynie szczęśliwym, który nie naśladować możniejszych, zadawalnia się tem co mu Opatrzność wydzieliła i pilnując troskliwie, by mu woda grobli nie zalała.

(d. n.)

**W Japonii.**

IV.

Wreszcie na dziedziniec wjechał konno jakiś dygnitarz za nim zaś wtoczyły się powoli cztery powozy, wiozące damy dworskie, które się ustawiły w dwa szeregi w obszernym



szkolnym korytarzu. Potem jakiś żołnierz przywiózł niewielką chorągiewkę, na której był wyhaftowany kwiat chryzante-  
mu, stanowiący godło cesarskie. Kolejno nadjeżdżali też  
coraz to inni jeźdźcy z ogromnymi pękami białych i czerw-  
nych piór w rękę, a wreszcie ukazał się czerwony powóz  
ozdobiony złożonemi rzeźbami, w którym się znajdowała ce-  
sarzowa. Gdy jeden z dygnitarzy rozpostarł na progu matę,  
cesarzowa wysiadła z powozu i przeszła pomiędzy dwoma  
szeregami dam dworskich, schylonych aż do ziemi. Wówczas  
udałam się do klasy, gdzie obok mojej katedry umieszczono  
przepyszny fotel z czarnej laki, ozdobiony poduszką z czerw-  
nego aksamitu i mnóstwem malowanych chryzantemów. Nie-  
bawem usłyszeliśmy szelest sukien jedwabnych, drzwi się  
otwarły, pani Szinopa, dyrektorka zakładu, rzuciła okiem do  
wnętrza pokoju, myśmy zaś wszystkie powstały z miejsca  
i pochyliły głowy. W tejże samej chwili weszła cesarzowa,  
którą musieliśmy powitać tak niskim ukłonem, iż zdawało  
mi się, że upadnę. Po chwili cesarzowa usiadła, uczennice  
na dawne wróciły miejsca i lekcya się rozpoczęła.

Z początku widząc nerwowe wzruszenie mych dziewcząt  
byłam przekonana, że odpowiedzi ich nie zrobią mi wcale  
zaszczytu. Nie dobrze znałam jeszcze wówczas młode Ja-  
ponki. W chwili stanowczej wszystkie te dziewczątka odzy-  
skwały zupełnie zimną krew i taki spokój, że nigdy jeszcze lek-  
cya nie powiodła się również dobrze, jak w obecności cesa-  
rzowej. Przez całe pół godziny Haru-Ko przysłuchiwała jej  
się uważnie, chociaż, jak się później dowiedziałam, nie umie  
ani słowa po angielsku. Jestto niska i szczupła kobieta, dla  
której szara, jedwabna suknia i duży paryski kapelusz zbyt  
wielkim zdawały się być ciężarem. Twarz jej wydała mi się  
smutną, w dużych zaś i pięknych oczach malowała się cicha,  
rzewna rezygnacya.

Po niejakiem czasie cesarzowa wyszła z klasy, ale nie na  
tem jeszcze był koniec, wkrótce bowiem wyraziła życze-  
nie, aby jej przedstawiono kolejno wszystkie nauczycielki.  
Oto w jaki sposób odbyła się ta ceremonia, gdy na mnie wy-  
padła kolej.

Najprzód na progu musiałam skłonić się głęboko, po-  
czem podążyłam wprost przed siebie aż do cesarzowej, sie-  
dzącej w głębi pokoju i znowu niskim powitałam ją ukłonem.  
Wówczas pewien szambelan podał mi duży półmisek z laki,  
na którym leżała ogromna paczka obwinięta w biały papier.  
Wzięłam więc tę paczkę i położywszy wysoko po nad głowę,  
cofałam się powoli aż do progu, gdzie znowu nastąpił ukłon.  
Paczka ta zawierała kilka sztuk białej, jedwabnej tkaniny,  
mających po 25 metrów długości. Niegdyś, zwłaszcza w głębi  
kraju, podobny podarunek był uważany za świętość i najwię-  
kszym otaczany szacunkiem. Kiedym go pokazała memu  
służącemu, to zdjął czapkę i z religijną czcią zaczął mu się  
przyglądać. Przed kilku jeszcze laty suknia uszyta z tkani-  
ny otrzymanej od cesarzowej, miałyby w oczach krajowców  
cudowne czarodziejskie własności. Dziś już tak nie jest.

Niekiedy znalazłszy wśród licznych zajęć chwilkę wol-  
nego czasu, cesarzowa zaprasza do siebie córeczki szambela-  
nów lub innych dygnitarzy i rozmawia z temi małemi istot-  
kami, nie krępującemi się jeszcze wcale przepisami dworskiej  
etykiety. Każda taka rozmowa kończy się jakimś pięknym

podarunkiem, który dla całej rodziny obdarzonego nim dzie-  
wczęcia cenną się staje pamiątką. W każdym razie biedna  
monarchini słucha ze smutkiem dźwięcznych dziecięcych gło-  
sów, sama bowiem nigdy nie była matką, tak, że następcą  
obecnego cesarza będzie jego synowiec.

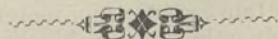
Pałac cesarski zbudowany jest w stylu japońskim, ale  
ogrzany, oświetlony i umeblowany w sposób europejski. Kil-  
ka tylko prywatnych apartamentów odznacza się prostotą  
i prawdziwie japońskiem urządzeniem. Widać więc, że wład-  
cy rozległej tej krainy wołą narodowe maty i węzłowia od  
europejskich krzesel i kobierców; wtedy dopiero czują się  
szczęśliwymi, gdy się znajdują w cichem swem schronieniu,  
zdala od miejskiego gwaru i dworskiej etykiety.

Co do trybu ich życia, to nie różni się on wcale od egzy-  
stencji europejskich monarchów. Od czasu do czasu na uli-  
cach Tokio ukazują się znany powóz czerwony, przed którym  
kilku jeźdźców wiezie cesarskie chorągwie, policya zaś usuwa  
ciekawych. Nadto dziennik urzędowy ogłasza publiczności,  
jak ich cesarskie moście spędzić dzień raczyły.

Jedną z najulubieńszych rozrywek jest jazda konna,  
odbywająca się zwykle w rozległym i malowniczym parku  
cesarskim. Nadto na wiosnę i w jesieni bramy pałacu Aka-  
saka otwierają się dla zaproszonych na uroczystość wiśni  
i chryzantemów, pomiędzy zaś prześlicznymi kwiatami przesu-  
wa się lekko eteryczna sylwetka Haru-Ko o smutnej lecz łą-  
godnej twarzy. Za nią kroczy zwykle cały szereg dam dwor-  
skich, mieszkających w apartamentach dość odległych od  
pałacu, ale połączonych z nim długą i wąską aleją, która  
przerzyna ogród w całej jego długości.

Każda z tych pań ma własny dom i własnych służących  
całe zaś jej życie upływa wśród przepychu i zabaw. Teatr  
z aktorami ucharakteryzowanymi w przeróżny sposób, nie-  
poślednie tu zajmuje miejsce. Życie Japonki zapełnione  
jest też wykonywaniem przepisów etykiety, które od dzie-  
ciństwa tak starannie jej wpajano. Aby się przygotować do  
spełniania przyszłych swych obowiązków, dziewczęta, mające  
później należeć do orszaku cesarzowej, wychowują się od  
10 lub 12 roku życia w domu jakiejś dworskiej damy, która  
w nich szczepia konserwatywne poglądy i szacunek dawnych  
tradycji.

Pomimo gorliwych usiłowań cesarzowej w celu zastoso-  
wania wyobrażeń tego kółka do współczesnych prądów, sta-  
nowi ono dotąd jeszcze jakby odrębny światek, nie mający  
nic wspólnego z tym, co go otacza. Wszystkie domy dwor-  
skie zdają się jeszcze należeć do epoki rozpoczętej przez ce-  
sarzową Dzingu-Kogo, gdy tymczasem cesarzowa Haru-Ko  
nową otwiera erę i powinna żyć długo w pamięci japońskich  
kobiet. Jeżeli majestatyczna, legendowa Dzingu-Kogo stała  
niegdyś dumnie na granicy, dzielącej cywilizację od barba-  
rzyństwa, to dzisiaj Haru-Ko mężnie przekracza granicę, ja-  
ka odosobniała dotąd azjatycki Wschód od europejskiego  
Zachodu.



#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

**TREŚĆ:** Górskie zameczysko, opowiadanie z XV wieku p. Zuzannę Morawską. — Helena Budzińska (kartka ze wspomnień dawnej uczen-  
nicy) p. A. Szycównę (dokończenie). — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego (z drzew.) — Sprawozdanie z konkursu.  
— W Japonii (z drzew.) dokończenie. — Dodatek: Kotek i myszka wiersz p. E. L. (z drzew.) — Króliki p. Maryę Weryho. —  
Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-sa Molesworth. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Dla szczęścia  
rodziny. Przekład Maryi B.



# WIECZORY RODZINNE.



## KOTEK I MYSZKA.

(Piosenka przy zabawie).

Stańmy wszyscy wkoło,  
Zanućmy wesoło.  
Czeka nas zabawa,  
Prosta, ale żwawa.

Nie ma tu co pytać,  
Kot chce myszkę schwytać;  
Tylko w tem jest bieda,  
Że się ona nie da.

Dalej myszko! żwawo,  
Kot w lewo, ty w prawo.

Niechże się nasapie,  
Nim cię wreszcie złapie.

Hejże, panie kocie!  
Sprawnys ty w robocie,  
Lecz i myszka dzika,  
Żwawo sobie zmyka.

Biada-ż myszce, biada!  
Już ją kot dopada,  
Prośby nie pomogą,  
Poddaj się niebogo!

Więc kot myszkę wiedzie,  
Stawiając na przedzie,  
By za karę potem,  
Sama była kotem.

Czekaj kotku miły!  
Teraz brak nam siły,  
W kółko się obróćmy,  
Jeszcze raz zanućmy.

E. L.

## KRÓLIKI.

Na polu mieszkała rodzina królików, ojciec, matka i pięcioro drobnych dziątek. Jak tylko zaświta dzień, zgłodniałe króliki biegną na śniadanie, soczysta trawka bardzo im smakuje. Na obiad idą na koniczynę, a wieczera... wieczerę mają przepyszną; ale boję się mówić o niej głośno, żeby ogrodnik nie usłyszał. Na wieczerę wypadają do ogrodu i kapustkę zajadają, kapustka słodka, soczysta, chrupie między ząbkami, prawdziwy przysmak.

W tym samym ogrodzie rosną młode drzewka owocowe, kora tych drzewek bardzo jest smaczna. Skosztowały raz i bardzo im się podobała. Od tego czasu zaczęły codzień odwiedzać ogród i korę drzewek obgryzać.

Przychodzi ogrodnik i widzi straszne szkody w swej szkółce.

— To mi szkodniki — powiada — poniszczyły zupełnie latorośle, a jak wysoko poobgryzały!

Zaczął się oglądać czy którego z nich nie zobaczy, ale gdzież tam! królików już ani śladu.

Usłyszały one skrzypnięcie furtki i prędko puściły się z powrotem do domu. A w domu były zupełnie bezpieczne. Mógł się pan ogrodnik gniewać dowoli, mógł nawet i psami je poszczuć, bo te się już do nich nie dostaną. Króliki bowiem mieszkają w ziemi. Tam zrobiły sobie norę, wysłały ją liśćmi, mchem i swoją własną sierścią, z nory prowadzi mnóstwo korytarzy na łąki i pola.

Razu jednego padał deszcz i króliki nie chciały wychodzić z mieszkania, stuliły się wszystkie w komorze i drzemały.

Wtem nie wiedzieć skąd wpada tchórz! O Boże! przecież to ich największy nieprzyjaciół!... W jednej chwili rozbiegły się zwierzątka po korytarzach. Ale jakież ich



tu spotkał zawód! Na końcu korytarza leżały siatki i biedne króliki w nie powpadały. Domyśliły się, że to była zastawiona pułapka. Rzucały się więc na wszystkie strony, próbowały uciec, ale na próżno! Jakiś człowiek zabierał je i zaniósł do swego domu. Smutne siedziały teraz w ciemnej komórce, łebki powieszwały nie patrząc wcale na jedzenie.

Tak przeszedł dzień, drugi i trzeci, aż w końcu głód zaczął im dokuczać. Ojciec królik wziął liść do pyszczka i próbuje... Wcale nieźle! bo to był liść kapusty. Widząc to drugi królik, zbliża się i gryzie liść z przeciwnej strony. Powoli przyłączyły się do rodziców i małe króliki i wszystkim im liście kapuściane przypadły do smaku.

Drugiego dnia gospodyni marchewki przyniosła, i to się im podobało.

Następnie codzień króliki dostawały coś równie dobrego.

Pewnego dnia przychodzi gospodyni i wypuszcza je z komórki: Króliki jeden za drugim powyskakiwały na podwórko. Chciały z początku uciekać w pole, ale potem rozmyśliły się: poco mamy odchodzić, powiadają, pożywienie dają nam dobre, na podwórku trawy mamy dosyć, do komórki niema co wracać, bo tak samo w niej ciemno jak w norze, tak samo pełno piasku. Ani lis, ani tchórz tu się nie zakradnie, sowa nie przyleci, więc nie będziemy uciekać.

I zostały.

A gospodyni karmi je po dawnemu, na wiosnę tylko je strzyże, żeby z ich włosia chustkę sobie ciepłą zrobić. Zdaje się, że króliki z początku miały zamiar wpadać czasami do ogródka, ale, że jedzenia w komorze było zawsze tak dużo, odechciało im się wkrótce kory i kapusty z grządek. I oto jak króliki z dzikich stały się domowymi zwierzątkami.

*Maryja Weryho.*

## OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-ss MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

Miałam czas mu się przypatrzeć, gdy mnie trzymał w objęciu. Był to człowiek od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat wieku, z twarzą tchnącą powagą i energją, w spokoju wyraz jej był może cokolwiek surowy, ale uśmiech dziwnie ją rozjaśniał i czynił ujmującą.

Pomna przestróg matki zrobiłam wysilek, aby uprzejmie odpowiedzieć:

— Nie stryju, nie jestem zmęczoną, ale mi się bardzo spać chce, i braciszkom także o ile mi się zdaje.

— No — odrzekł stryj — to przynajmniej choroba, z której się wnet wyleczycie. Jutro już i śladu jej nie będzie.

Zwrócił się do Kasi:

— W mej karetkie jest miejsce tylko na dwie osoby, zabiorę Zosię, a ty z dziećmi pojedziesz dorożką...

Przerwałam mu:

— Jeżeli to stryjowi nie przeszkadza, wolałabym być razem z braćmi. Wszak mnie ich mama powierzyła.

— Ależ panno Zosiu — zawołała z wymówką Kasia.

Śmiała mowa moja zdawała się bawić stryja Franciszka.

— Szczerze zawsze mi się podoba — odrzekł — jedźże więc Zosiu z braciszkami, nie dziw się tylko, że mnie dziś wieczór więcej nie zobaczysz, mam kilku chorych, którym obecność moja nieodzownie jest potrzebną. Jutro bliżej się poznamy. Pani Gertruda was oczekuje. Zresztą jestem o was spokojny, panna Zofia, sądząc z pozorów, znakomicie sobie radzić potrafi. Dobranoc wam dzieci.

Wsadził nas do powozu z takim pośpiechem, że mimowoli przez myśl mi przemknęło:

— Możnaby sądzić, że mu pilno nas się pozbyć.

Powóz ruszył.

— Stryj wasz jest bardzo dobry i bardzo uprzejmy rzekła Kasia. — Jak mogłaś panno Zosiu odzywać się do niego w sposób tak szorstki.

— Nic złego przecież nie powiedziałam — żywo zaprzeczyłam — czemuż chciał mnie rozłączać z braciszkami? Przrzekłam mamie, że ją przy nich zastąpię, i mam zamiar przyrzeczenia dotrzymać — dodałam poważnie.

— Daje im panienka śliczny przykład — zgromiła mnie Kasia — jeżeli ich panienka ma zamiar uczyć niechęci i hardych odpowiedzi, to im mniej z nią przestawać będą, tem dla nich lepiej wypadnie.

Na płacz mi się zbierało, ale nie chciałam, aby pani Gertruda na samym wstępie czerwone oczy u mnie dostrzegła. Tomcio i Józio ucałowali mnie w oba policzki, a starszy szepnął mi do ucha:

— Nie płacz, Zosiu, my cię zawsze słuchać będziemy, prawda Józiu?

Józio przywodził.

— Tak, zawsze!

Wzięli ręce moje w swoje rączki, aby mnie pocieszyć, jak to było ich zwyczajem, gdy mnie Kasia łajała. Zamknęłam się w pełnem godności milczeniu, bracia poszli za moim przykładem i niania nie dorzuciła więcej ani słówka. Powóz wciąż się toczył, domy i ulice przesuwały się przed naszymi oczyma. Deszcz padał, płomienie gazu olśniewały biednych, małych wieśniaków; przypatrywaliśmy się ciekawie świetnym wystawom sklepowym. Ileż wspaniałości dostrzegłam przelotnie! Jakaż byłaby tu uciecha biegać po sprawunkach z mamusią! Widok małej dziewczynki mego wieku i wzrostu, drepczącej wesoło mimo śoty pod parasolem obok swej mateczki, wzruszył mnie, dwie łzy gorące po twarzy mi się potoczyły. Mimowoli ucisnęłam mocniej rączki braciszków, powtarzając z cicha:

— Tak, matuchno droga, przyrzekam ci opiekować się Tomciem i Józiem; dokładać starań, aby byli szczęśliwi i grzeczni podczas twej nieobecności.

Nareszcie powóz zatrzymał się.

Ulica, którą zamieszkiwał stryj Franciszek, sklepów nie miała, była wązka, ciemna i smutna. Mało uczęszcza-



na w dzień, wieczorem opustoszała zupełnie. Dom był duży i poczerniały. Serce mi się ścisnęło na ten widok...

Tomcio podzielał doznawane przezemnie wrażenie. Józio zmęczony zasnął znowu i Kasia wzięła go na ręce, aby przebyć kilka schodów u wejścia. Przedpokój nie miał w sobie nic powabnego. Jakaż różnica z naszym!

U stryja nie było ani wesoło trzaskającego ognia na kominka, ani miękkiego puszystego dywanu, ani kwiatów i roślin, które mama lubiła wszędzie rozstawiać: dębowy stół, na nim taca zawierająca kilka kart wizytowych, ławeczka kryta brązowym aksamitem, a pod ścianą wieszadła, postument do lasek i parasoli, oto całe umeblowanie pierwszego pokoju.

Służąca, która nam drzwi otworzyła miała twarz ujmującą.

W głębi przedpokoju stała sztywnie wyprostowana, podeszłego wieku kobieta, w ciemnej jedwabnej sukni i czarnym, koronkowym, z fiołkowemi wstążkami czepku, podeszła na nasze spotkanie, mówiąc słodziutkim głosem:

— Nareszcie jesteście, kochane dziecieczki! — Witam cię panienko i ciebie mały paniczku. — A śliczne bobo śpi jeszcze? Jakże się miewa kochana wasza mamusia i drogi wasz tatuś?

Tomcio konwulsyjnie ścisnął mnie za rękę. To więc była pani Gertruda? Strasznie nam się nie podobała. Dzieci miewają czasem takie niewyrozumowane niechęci. Przyznaję, że to było bez sensu, ale powolna jej wymowa i głos miodowy działał nam na nerwy; *czuliśmy*, że pani Gertruda wrogo jest względem nas usposobiona, i żeśmy dla niej wcale niepożądanymi przybyszami. Kazała nam przejść do sali jadalnej.

— Jakże niepodobna do naszej — pomyślałam sobie wchodząc.

Uwaga ta nasuwała mi się co chwila, a porównanie nie wypadło bynajmniej na korzyść domu stryja Franciszka.

Ucieszyliśmy się na widok ognia i zbliżyli spiesźnie do kominka.

— Musiało wam być zimno w drodze — odezwała się pani Gertruda.

— Och! i bardzo proszę pani — odpowiedział Tomcio, mrużąc oczy w skutek nagłego przejścia z ciemności do światła.

— Jakże to dziecko ma słaby wzrok — podjęła zaraz pani Gertruda — czy go nie pielęgnujecie? Musi to mieć chyba po matce, ojciec jego i stryj mieli zawsze znakomite oczy. Wiem o tem, bo ich wychowywałam.

Kasia zaczerwieniła się z gniewu na zarzut, że nie umiała dostatecznem staraniem otoczyć Tomcia, nie odpowiedziała jednak ani słówka.

— Po mamie nie odziedziczył Tomcio słabego wzroku — zawołałam oburzona. — Mamy oczy są czarne, precudowne i Tomcio ma prawie równie piękne. Nigdy go też nie bolały.

— Co za zapaleczka! — odrzekła pani Gertruda — nie obrażaj się o byle co moja panienko, nie miałam nic złego na myśli mówiąc, że paniczku ma oczy czerwone.

— Nic dziwnego, gdy się kto tyle napłakał — szepnęłam.

Pani Gertruda, która mimo wszystkiego miała dobre względem nas chęci, pokazała wkrótce przeznaczone dla nas pokoje na drugim piętrze; dwie sypialnie i spora salka, przyszłe pole naszych zabaw i miejsce nauki. Okna wychodziły na ulicę, ale po nocy trudno było o widoku z nich sądzić. Stół zastawiony nas oczekiwał. Pora była spóźniona i pomimo zmartwienia powinniśmy byli mieć apetyt, ale zaledwie pani Gertruda i Kasia wyszły załatwić jakieś gospodarskie zajęcia, Tomcio rzucił się na krzeselko mówiąc jednym tchem:

— Zosiu, Zosiu, jaki ja nieszczęśliwy! Wcale nie lubię pani Gertrudy. Nie myślałam, żeby tu było tak smutno. Niecierpię Londynu! Byłoby lepiej, gdybyśmy byli pomarli na odrę — dodał z płaczem.

Całowałam biedne jego zaognione oczęta. Pragnęłam przytulić do serca Tomcia i Józia, zatrzymać ich tak w objęciu, aż do powrotu mamy, aby do nich żadnej nie dopuścić troski. Zdawało mi się, że na raz wyrosłam na ich mamusię.

Gdym Tomcia trochę uspokoiła, chciałam go nakłonić do jedzenia, ale odmawiał wszystkiego, nawet ulubionych ciastek, tylko wsparłszy główkę na moje ramię, powtarzał.

— Co jabym poczył, Zosiu, gdybym ciebie tu nie miał!

Te słowa sprawiły mi wielką przyjemność, jakże nam jednak było smutno!

#### NAPOWIETRZNE OGRODY JÓZIA.

Dnia następnego było nam cokolwiek raźniej.

Jest to, jak powiada mama, przywilej młodego wieku, że najcięższe zmartwienie po przespanej nocy lżej szem się wydaje.

Trochę przed ósmą obudził mnie bez ceremonii Józio.

— Zosiu — wołał na mnie przytłumionym głosem — nie hałasuj, bo Tomcio śpi jeszcze, biedny, taki zmęczony.

— Jakie masz zimne nóżki! dawno tak boso biegasz?

— Niedawno — odpowiedział — nie mów tylko nie Kasi boby się gniewała. Trochę oknem wyglądałam.

— I cóż widziałeś? — pytałam z zajęciem.

— Jak tu dziwnie, Zosiu, niema ani drzew, ani dziedzińca, ani ogrodu tylko mury i okna, mnóstwo okien! Czy wszystkie domy są własnością stryja Franciszka?

— Gdzież tam — odrzekłam — należą do bardzo wielu osób. Tyle jest ludzi w Londynie, że muszą budować domy jedne tuż obok drugich, nie pomieściliby się, gdyby każdy chciał mieć ogród.

— Jednakże są i tutaj ogrody, nie takie jak był nasz, ale małe ogródki w podwórzu. Widziałem jeden zaraz naprzeciwko.

— Ogrody w podwórzu? Co chcesz przez to powiedzieć? Wytlómacz się Józiu!

— Ależ tak, ogrody, które wystają na przód domu, ogrody w powietrzu, to przecież jasne, inaczej powiedzieć nie mogę!

— Ah! wiem już — zawołałam — mówisz pewno



o tych oszklonych wystawkach, jakie się w niektórych domach znajdują. Tworzą one rodzaj cieplarni, w której kwiaty hodują. Jak się ubierzemy, pójdziemy razem podziwiać twój ogród napowietrzny.

— Widziałem w nim śliczne czerwone kwiaty — opowiadał Józio — chodź zaraz zobaczyć.

Odmówiłam stanowczo i dobrze się stało, gdyż w tej chwili weszła Kasia.

Na szczęście uwagę jej od nas odwrócił Tomcio, który na pół przez sen opowiadał z płaczem:

(d c. n.)

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA (Biała kotka).

Z następujących sylab ułożyć imię i nazwisko znane pisarza XVI wieku.

A—al—by—ba—ca—cya—cor—der—da—dy—et—ga—ga—go—hek—il—i—łom—kon—ka—la—li—lan—lon—ma—mi—mi—mi—ni—nas—na—ni—ne—ne—na—nois—ol—o—ra—ryś—ris—sa—sal—sar—se—sza—te—te—tez—tor—ta—woł—we—zy—zeus — Znaczenie wyrazów: 1) Wyspa pod Attyką słynna bitwą w 480 r. przed Chr. 2) Miasto w górnym Egipcie. 3) Miasto w Latium założone wedle podania przez Eneasza z Troi. 4) Kraj nad m. Północnem, sławny z wojen z Filipem II hiszpańskim. 5) Rzeka w Stanach Zjednoczonych. 6) Król Assyryjski. 7) Najwyższa góra w Tatrach. 8) Bogini nauki i wiedzy u starożytnych Greków. 9) Miasto, zwane dawniej królową mórz. 10) Drzewo z rodziny brzoźowatych. 11) Zwierzę z rodziny kotów. 12) Główny bóg Olimpu. 13) Wulkan w Europie. 14) Zdobywca Meksyku. 15) Bohater z wojny Trojańskiej. 16) Bóg słońca u Egipcyan. 17) Największa rzeka w Europie. 18) Królowa Assyryjska. 19) Rzeka w Afryce. 20) Starożytna nazwa jednej z wysp Jońskich.

### REBUSIK.

ułożyła Góralka z Zakopanego.

ra	mar	ła,	wa	la	śnieg.
tu			kry		

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go.

Szarady: Pie — ro — gi.

Kwadratu magicznego:

L	a	t	o
a	r	a	k
t	a	j	o
o	k	o	ń

### Łamigłówni liczbowej:

Na każdy narożny kwadracik przypada 7, na każdy środkowy 2 grosze.

### Skrzynka do listów.

Woi leśna opóźniła się trochę z nadesłaniem wypracowania, zważywszy jednak, że dała tem dowód dobrej woli i rozsądku, nie zrażając się, jak sama mówi, niepowodzeniem, oceniając przede jej wytrwałość i dobre chęci, Redakcja zalicza jej pracę do konkursu. Co się tyczy domysłów Woni, tworzonych odnośnie do osobistości Jaskółki, są one zupełnie nieuzasadnione i tak Redakcja, jak sama Jaskółka, razy kilka już tłumaczyła, że ciekawość czytelników w tym względzie zaspokojoną być nie może.

Przyjemnie było nam usłyszeć, że **Gabrynia Kos.** od zamężnej dziś już siostry swojej, Niezabudki czeskiej, którą i my zechowujemy w pamięci, przejęła upodobanie w czytaniu „Wieczorów” i że sympatję swoją dla tego pisma stale zachowuje. Żądane dodatki posyłamy.

Życzeniu **Janiny Wal.** zadość uczyniliśmy, przesyłając dodatek powieściowy, jaki mieć chciała.

Wysłaliśmy także powtórnie zagubiony numer „Wieczorów” dla naszej **Dziewoi**, którą w zamian za jej życzliwe wyrazy, przyjaźnie pozdrawiamy.

Dobrym braciszkiem jest **Feluś Z.** skoro podawane przez nas powiastki odczytuje małej siostrzyczce. Podejmujemy też chętnie trudy i prace dla tak grzecznych dzieci. Feluś nadesłał trafne rozwiązanie łamigłówni, pomimo pomyłki drukarskiej, juka się tam wcisnęła.

Dobre również rozwiązanie szarad, kwadratów magicznych i łamigłówek nadesłali: Prenumeratorka **R. S., Wróbelek, Juliusz W. O. T.** Ułożoną przez tego ostatniego łamigłównię umieścimy, jeśli nadawać się będzie do druku.

**P. F. Ł.** Opowiadanie o wypadku Elżuni nie posiada żadnych niezbędnych do druku warunków, a przy tem jako rzecz, mająca być poczerpnięta z prawdziwego wydarzenia grzeszy zupełnem nieprawdopodobieństwem. Książki takiej, jak pani żąda, żadnej nowej niema.

Pani **F. Ł.** wdzięczną jestem za okazywane mi łaskawe względy i radabym nie zawieść pokładanego we mnie zaufania. Mogę też sz. panu zapewnić, iż Redakcja nasza chętnie pośredniczy w przesyłkach wszelkiego rodzaju datków dla biednych, bez względu na ich wartość, oceniając tylko szlachetną intencję ofiarodawców. Co się tyczy powiastki, osnutej na tle rzeczywistego wypadku, Redakcja, do której osądzenie artykułów należy, sama odpowiesz przesyła.

Nie dziwi się bynajmniej **Jedynakowi**, że tęsknota za rodziną odbierała mu ochotę zawiązywania nowych stosunków, choćby z ptaszkiem, mającym mu w części zastąpić brak ulubionej gołąbki. Szczęściem dla mnie, że korespondent mój podczas kilkomiesięcznego pobytu w Nałęczowie, odzyskał dobry humor i weselość, bo tej pomyślnej okoliczności zawdzięczam miłą jego odezwę. Mam nadzieję, że gotowość moja w utrzymaniu rozpoczętej korespondencji zjedna mi nadal względy Jedynaka.

Czyż mogłabym nie chcieć odpisywać **Malince Litewskiej**, dziewczynce o buzi zapewne tak rumianej, jak owoc, który za pseudonym sobie obrała! Na zakład dobrej przyjaźni postarałam się o prędkie wysłanie, żadanego przez nią dodatku powieściowego, pragnąc aby nie powątpiewała nigdy o dobrych chęciach życzliwej sobie

Jaskółki.